

Mistrzowie i przyjaciele

Rozmowa z **prof. dr. hab. Andrzejem Szahajem**

DOI: <http://dx.doi.org/10.12775/LC.2015.009>

Paweł Bohuszewicz: *Zniewalającą moc kultury dedykujesz Twoim Mistrzom: Jerzemu Kmicie i Richardowi Rorty'emu. Opozycja, proszę, co im zawdzięczasz.*

Andrzej Szahaj: Kmita otworzył mi oczy na wszystko, co ważne w nauce. Nauczył odwagi myślenia w połączeniu z dyscypliną intelektualną. Wskazał na rolę kultury, pojmowanej jako rzeczywistość myślowa, w procesie konstruowania naszego świata („świata dla nas”, by użyć wyrażenia Kanta). Pokazał, jak myśleć wbrew prawdom zdrowego rozsądku. Ujawnił problemy tam, gdzie wydawało się, że ich nie ma. Przewrócił cały mój świat do góry nogami. Był dla mnie zawsze wzorem tego, jak być krytycznym wobec rzeczy, które uchodzą za oczywiste prawdy. Spowodował, że w kontakcie z luminarzami nauki światowej, a miałem to szczęście, że poznałem ich wielu, nie odczuwałem przychodzenia z miejsca prowincjonalnego, intelektualnie zapóźnionego. Myślę, że gdyby pisał w języku angielskim, uznano by go za jednego z wybitniejszych myślicieli współczesnych.

Rorty wpłynął na mnie chyba nawet bardziej. Jeszcze gdy go nie znałem, z zachwytem czytałem jego książki, zawsze mając wrażenie, że wypowiada za mnie to, czego ja nie potrafiłem powiedzieć, ale co czułem i co było mi bliskie. Przy czym

o ile z profesorem Kmitą łączyła mnie więź typu mistrz–uczeń, o tyle z Rortym łączyły mnie więzi przyjaźni. Nie tylko zatem brałem udział w jego znakomitych wykładach i seminariach, z których szczególnie ciepło wspominam seminarium prowadzone przez niego z wybitnym literaturoznawcą amerykańskim, jakim jest Eric Donald Hirsch, w semestrze letnim r. ak. 1993/1994 w University of Virginia (Charlottesville), gdzie obaj byli profesorami, ale także miałem przyjemność prowadzenia długich rozmów prywatnych. Rorty był niezwykle połączeniem wielkiego intelektu i gołębiego serca. Ciepłym, życzliwym, szlachetnym człowiekiem. Tworzyli razem z Mary, jego żoną, piękną parę. Przejąłem od Rorty'ego wiele poglądów teoretycznych. Szczególnie mi bliskie okazało się jego romantyczne podejście do literatury i filozofii jako sposobu autokreacji i zarazem środka społecznego doskonalenia (zawsze podzielałem jego umiarkowane lewicowe stanowisko w polityce). To dzięki Rorty'emu poznałem osobiście Jacquesa Derridę, Richarda Bernsteina czy Richarda Shustermana, jego przyjaciół. To dzięki jego pomocy mogłem słuchać wykładów Hilarego Putnama, Alasdaira MacIntyre'a czy Donalda Davidsona oraz wielu innych wybitnych filozofów amerykańskich. To dzięki niemu mogłem spędzić w Ameryce nieomal trzy lata, poznając ten

niezwykły kraj i nawiązując wiele przyjaźni na całe życie. Miałem wielkie szczęście, że spotkałem Richarda na mojej drodze życiowej. A nie stałoby się tak, gdyby nie sławna debata pomiędzy nim i Umberto Eco, jaka odbyła się w marcu 1990 roku w Cambridge University, a której miałem przyjemność się przysłuchiwać (jej zapis znajduje się w znanej książce pt. *Interpretacja i nadinterpretacja*¹). Mój zachwyt wystąpieniem Rorty'ego przełożył się na udaną próbę nawiązania z nim kontaktu. W 1992 roku przyjechał do Torunia na konferencję poświęconą swojej filozofii, no i tak rozpoczęła się nasza przyjaźń. Zdążyłem go jeszcze odwiedzić w lutym 2007 roku w jego domu w Palo Alto, na kilka miesięcy przed śmiercią i podziękować za wszystkie te lata, w których był dla mnie mistrzem i przyjacielem.

P.B.: Nie jest też tajemnicą Twoja przyjaźń z Zygmuntem Baumanem.

A.Sz.: Bardzo sobie cenię naszą długoletnią znajomość. Zygmunt jest uroczym człowiekiem, wspaniałym rozmówcą i... świetnym kucharzem. Wiele lat temu jego książki były dla mnie olśnieniem i jakoś ukształtowały mój sposób myślenia. Do dzisiaj czytam je z przyjemnością. Kiedy tylko mogę, odwiedzam go w Leeds i zawsze są to nadzwyczaj sympatyczne spotkania. Z reguły też pozwalają mi one czegoś nowego się od niego nauczyć.

Aby dopełnić ten obraz wspaniałych ludzi i wielkich naukowców, z którymi zetknął mnie życzliwy los, pozwalając uczyć się od nich i cieszyć ich sympatią, muszę koniecznie wspomnieć jeszcze Stefana Morawskiego. Był to przemiły człowiek, łączący wybitny intelekt, nieprawdopodobną erudycję i dar wspaniałego pisanego z niezwykle sym-

¹ Zob. *Interpretacja i nadinterpretacja*, red. S. Colini, przeł. T. Bieroń, Kraków 1996, 2008.



Andrzej Szahaj i Zygmunt Bauman: przed domem Janiny i Zygmunta Baumanów

(Leeds, 1997; fotografia ze zbiorów Andrzeja Szahaja)

patią wobec ludzi. Kolejna piękna postać. Spotkania i rozmowy z nim to była czysta przyjemność².

P.B.: W artykule *Spoleczno-regulacyjna teoria kultury. Fazy społecznego rozwoju poznawczego i zjawiska paranormalne* Andrzej Zybertowicz pisze: „Wiele spostrzeżeń przedstawionych w tej pracy zawdzięczam dyskusjom z Andrzejem Szahajem – wydaje się, iż ścieżki naszych poszukiwań przeplatają się owocnie”. Ty z kolei swoje *Granice anarchizmu interpretacyjnego* dedykujesz jemu na pamiątkę Waszych dyskusji w „El Shaddai”. Niejednokrotnie zastanawiałem

² Jedno z tych spotkań zostało udokumentowane. Zob.: *O filozofowaniu, perypetiach dzisiejszej kultury i rebus publicis z profesorem Stefanem Morawskim rozmawiają Andrzej Szahaj i Anna Zeidler-Janiszewska*, Toruń 1995.

Interpretacja, literatura, literaturoznawstwo

się, co to za miejsce – czy mógłbyś uchylić rąbka tajemnicy? I czy w ogóle zechciałbyś opowiedzieć o tym, jak wzajemnie inspirowaliście się w tamtym czasie?

A.Sz.: Z Andrzejem poznaliśmy się wczesną wiosną 1983 roku i od razu przypadliśmy sobie do gustu. Przez lata oddawaliśmy się wielogodzinnym dyskusjom, w których nawzajem się „nakręcaliśmy” i inspirowaliśmy. Czytaliśmy swoje teksty, dyskutowaliśmy o nich. Nasza przyjaźń była bardzo bliska. Andrzej wciągnął mnie do Kolegium Otryckiego, które wydawało wtedy pismo „Colloquia Communia”, dziś legendarne. Poza wspomnianymi powyżej Mistrzami chyba nikt nie wpłynął na mnie tak jak on. Wiele się od niego nauczyłem, a mój podziw dla jego zdolności intelektualnych jest nadal ogromny. Nigdy nie spotkałem kogoś, kto potrafiłby w lot chwycić moje intuicje, z kim mógłbym spierać się tak owocnie i kto potrafiłby myśleć tak twórczo. A owo El Shaddai to po prostu nazwa pensjonatu, w którym razem mieszkaliśmy w czasie jednego z naszych pobytów w Cambridge. Gadaliśmy jak zwykle godzinami, ja odkrywałem wtedy Stanleya Fisha, a Andrzej podzielał mój zachwyt i wzmacniał poczucie odkrycia kogoś niezwykłego, choć sam żeglował już poznawczo w innym kierunku. Bardzo żałuję, że nie spisywaliśmy tych naszych debat, nie notowaliśmy wniosków. Byliśmy przez lata bardzo rozrzutni, jeśli chodzi o naszą energię psychiczną, zdawało nam się chyba, że zawsze będziemy młodzi i pełni nowych pomysłów... To wtedy w każdym razie ukształtowało się nasze konstruktywistyczne stanowisko, które do dziś dzielimy. Nie bez znaczenia był także fakt, że obaj wywodziliśmy się z tej samej szkoły myślenia, byliśmy wszak uczniami Kmity, braliśmy udział w jego legendarnym seminarium doktorskim.

P.B.: W już nie takiej krótkiej historii „Tekstów Drugich” tylko raz zdarzyło się, że wywołane przez jeden artykuł reakcje czytelników wypełniły następny numer. Ten tekst to Twoje *Granice anarchizmu interpretacyjnego*. Wypowiedzieli się między innymi Michał Paweł Markowski, Zygmunt Bauman, Andrzej Zybertowicz, Wojciech Kalaga, Henryk Markiewicz. Po tych kilkunastu latach, dzielących nas od owej publikacji z 1997 roku, co nowe go powiedziałbyś o tychże granicach?

A.Sz.: Właściwie nie mam nic do dodania. Wciąż uważam, że można je wytyczyć jedynie po stronie czytelnika (interpretatora), a nie po stronie tekstu.

P.B.: A czy dalej bronisz tezy, że również rekonstrukcja kontekstu macierzystego jest interpretacją? Znasz przykład Umberto Eco z jego artykułu *Pomiędzy autorem i tekstem: „A poet could not be gay”*. Eco pisał: „Wrażliwy i odpowiedzialny czytelnik nie ma obowiązku zastanawiać się, co się działo w głowie Wordswortha, kiedy pisał ten werset, lecz obowiązany jest uwzględnić stan systemu leksykalnego w epoce Wordswortha”. Czy nie uważasz, że jest możliwa nieinterpretacyjna rekonstrukcja tego systemu? Nieinterpretacyjna, czyli taka, która nie zostanie przesłonięta przez sensy przynoszone przez czytelnika w trakcie lektury. Oczywiście nie trzeba tego poziomu rozumieć esencjalistycznie, można relacyjnie: słowo „gay” nie znaczy nic samo z siebie, ale dzięki ustanowieniu relacji między nim a słownikiem danego czasu.

A.Sz.: Kontekst macierzysty danego tekstu jest oczywiście ważny i nie mam zamiaru negować jego znaczenia. Chodzi mi jedynie o to, że w momencie, w którym idzie o twór-

czą interpretację, inne względy są ważniejsze, co powoduje, że owo znaczenie ulega zmianie. Względy te zaś są związane z momentem interpretowania (tu uznaję racje hermeneutyki) i to one w ostateczności decydują, w jaki sposób ów kontekst macierzysty skonstruujemy (zinterpretujemy) i jakie mu nadamy znaczenie. Przeciwnstawiam się zatem przekonaniu, iż kontekst ów sytuuje się poza wszelką interpretacją, że jest odkrywany, a nie konstruowany, i że może on przesądzić o aksjologiczno-światopoglądowym wymiarze interpretacji. Działalność takich teoretyków historiografii jak Hayden White i Franklin Ankersmit uświadomiła nam bardzo dobrze, że historia jest nauką interpretatywną, która nie jest w stanie oddzielić tego, co wnoszone do procesu badania historycznego, a co pochodzi z epoki badacza, od tego, co zastane i już zawsze obecne i co jest jedynie odkrywane. Nie oznacza to wcale, że badacz owego kontekstu jest w swej wolności tak samo nieograniczony jak w swej interpretacji tekstu współczesnego, a w każdym razie jeśli chce, aby jego interpretacja była brana na serio. Winien on bowiem wtedy brać pod uwagę te interpretacje kontekstu macierzystego danego utworu, które uzyskały największy stopień uzgodnienia, tworząc kontrakt o największej mocy kulturowej. Musi się on zatem liczyć z „faktami”, nawet jeśli wie, że fakty te są konstruktami społecznymi. Powinien bowiem mieć świadomość, że to, co społecznie skonstruowane, wcale nie jest łatwe do zdekonstruowania. Liczenie się z faktami to w tym przypadku zatem rachunek zysków i strat związanych z uwzględnieniem trwałości owych kontraktów i nakładem sił potrzebnych do ich zdekonstruowania. Siła interpretacji to z reguły wynik kompromisu pomiędzy nowatorstwem i tradycją. Najbardziej przekonujące będą te interpretacje, które są nowe, ale nie za bardzo nowe. Czyli takie, które nawiązują jakoś do zastanej wiedzy (zastanych

konstruktów kulturowych), a jednocześnie próbują tworzyć konstrukty nowe. Pomiędzy tu zupełnie sprawy, które są banalnie oczywiste, jak to, że nie sposób wiarygodnie interpretować jakiegoś utworu jako relacji z podróży motocyklowej, jeśli pochodzi on z czasów, w których nie było jeszcze motocykli. Jednak nawet gdy zgodzimy się na istnienie takich oczywistości ograniczających naszą inwencję interpretacyjną, jej zakres będzie znacznie większy niż to się tradycyjnym badaczom kontekstów macierzystych (tzn. głównie historykom literatury) wydaje uzasadnione. Przeszłość jest bowiem zawsze taka, jakiej życzy sobie terażniejszość. Ta lekcja hermeneutyki i historiografii nieklasycznej spod znaku White'a i Ankersmita wydaje mi się trudna do zignorowania.

P.B.: „Aktualnie w naszym społeczeństwie sprawy wyglądają tak, że interpretacje dzieł literackich, niezależnie od tego, na jakie kwestie kładą nacisk, i niezależnie od motywów, które kierowały ich twórcami, nie są w jakiś znaczący sposób połączone z kwestiami, o których debatuje się w świecie polityki. Biorąc pod uwagę obecnie istniejące ścieżki komunikacji i struktury władzy, istnieje po prostu zbyt duży dystans między sposobami reprezentacji i argumentowania typowymi dla badań literackich a sposobami prezentacji i argumentowania na publicznych forach (legislacyjnym, dziennikarskim, prawnym), by pojawiła się bezpośrednia (lub nawet silnie niebezpośrednia) zależność między nimi, nawet wtedy, gdy, na pewnym poziomie, ich zainteresowania są całkiem podobne”. To Fish z *Profesjonalnej poprawności*. Czy zgodzisz się z tym stwierdzeniem?

A.Sz.: Fish ma rację. Rzecz dotyczy jednak nie tylko literaturoznawstwa, lecz także całej nauki i sporej części nauk przyrodniczych. Bardzo niewiele z tego przenika do sfery publicznej, bardzo niewielu ludzi spo-

za branży ma o tym jakiegokolwiek pojęcie. Są to bowiem sprawy na ogół bardzo trudne i najczęściej sprzeczne z tzw. zdrowym rozsądkiem i wiedzą szkolną. Nie sądzę jednak, aby należało się tym jakoś szczególnie przejmować. Trzeba robić swoje (ponownie całkowicie zgadzam się z Fishem). Nie oznacza to rzecz jasna, że gdyby ktoś zechciał, to nie mógłby pokazać, jak kwestie interpretacji mogą okazać się przydatne np. do zrozumienia pewnych sytuacji historycznych. I tak np. uważam, że warto byłoby spojrzeć na katastrofę smoleńską jako na tekst i spróbować pokazać, że radykalnie odmiennie jego interpretacje wynikają z zaistnienia radykalnie odmiennych wspólnot interpretacyjnych, które w świetle swoich założeń interpretują ową katastrofę, *de facto* po swojemu ją konstruując jako zupełnie odmienny fakt.

P.B.: Czy po zacytowanej przed chwilą *Profesjonalnej poprawności* – konserwatywnym manifeście i zachęcie do odwrotu od literaturoznawstwa polityczno-kulturowego w kierunku literaturoznawstwa w formie „czystej” – dalej „lubisz czytać Fisha”³? Czy zgadzasz się z jego diagnozą, że romans literaturoznawstwa z politycznością i badaniami kulturowymi prowadzi do utraty przez literaturoznawstwo dystynkcji i – w konsekwencji – do zniknięcia z kulturowej mapy współczesności (czego obawiali się również Harold Bloom i Richard Rorty)?

A.Sz.: Fisha czytam zawsze z przyjemnością, choć faktycznie wolę go z okresu „klasycznego”. Co do literaturoznawstwa w formie „czystej”, to w istnienie czegoś takiego nie wierzę ze względów wyłuszczonej przez

³ „Lubię czytać Stanleya Fisha” – tak Andrzej Szahaj rozpoczął swój wstęp do polskiego wydania wybranych esejów amerykańskiego literaturoznawcy. Zob.: A. Szahaj, *Zniewalająca moc kultury*, [w:] S. Fish, *Interpretacja, retoryka, polityka. Eseje wybrane*, red. A. Szahaj, Kraków 2002, s. 13.

niego wiele lat temu. Nie oznacza to jednak, iżbym nie rozumiał względów, które nakażają jemu, a także Rorty’emu i Bloomowi, bronić literaturoznawstwa i humanistyki jako takiej przed zbyt upolitycznieniem. Idzie przede wszystkim o to, aby nie zapominać, że polityka, choć jest ważną sferą naszego życia, to nie jest sferą jedyną i że sprowadzanie wszystkiego tylko do schematów walki politycznej zubaża nasze obcowanie z tekstami. Szczególnie wielka literatura jest przykładem tego, że podchodzenie do niej z gotowymi schematami politycznymi zabija jej ducha, ponieważ cechuje ją ambiwalencja i wieloznaczność. Wielka literatura zawsze mówi o czymś jeszcze innym niż to, co w niej dostrzegamy. Tymczasem niektóre podejścia w humanistyce amerykańskiej przypominają jako żywo nasz socrealizm czy też „jedynie słuszną krytykę literacką” znaną nam z poprzedniej epoki. Są one z reguły dziełem umysłów płytkich, dla których polityczna sztanca jest usprawiedliwieniem własnej mierności intelektualnej. Nie oznacza to jednak wcale, że wszystkie dzieła z zakresu np. owych studiów kulturowych należy od razu wrzucić do śmietnika. Jak zawsze i jak w każdej orientacji teoretycznej są rzeczy lepsze i gorsze, a przenikliwość teoretyczna sąsiaduje z głupotą. Rorty i Bloom byli zniesmaczeni zamianą studiów nad literaturą wyłącznie w narzędzie wyrażania jakichś radykalnych pozycji politycznych i mieli rację. Nie wiem jak Bloom, ale Rorty z pewnością nie broniliby jednak stanowiska, w myśl którego k a ż d e odnoszenie literatury do polityki powinno być napiętnowane. Na pewno domagałby się, i słusznie, aby odnoszenie to nie było j e d y n y m i przysłaniającym wszystko inne sposobem jej użycia. Jest gigantyczna różnica pomiędzy przekonaniem, że we wszystkim jest trochę polityki, a przekonaniem, że wszystko jest w y ł ą c z n i e polityką.

Nie widzę też nic złego ani zaskakującego w głoszonej obecnie przez Fisha po-

trzebnie uznawania specyfiki dyscyplinarnej literaturoznawstwa. Każda dyscyplina ma prawo, a nawet obowiązek kultywowania swojej tradycji i używania właściwych dla siebie narzędzi metodologicznych i poznawczych. Kłopot zaczyna się dopiero wtedy, gdy uznaje się, że jest ona całkowicie autonomiczną dziedziną aktywności intelektualnej, a granice oddzielające ją od innych dziedzin uważa się za coś naturalnego, a nie za coś konwencjonalnego. Traci się wtedy szansę na spojrzenie zarówno na swoją dyscyplinę, jak i na przedmiot jej zainteresowania oczami innych, a to błąd. W ten sposób traci się bowiem zarazem szansę na wyjście poza schematy myślenia, które nie pozwalają nam spojrzeć na to, co znane i często dla nas oczywiste jako na k o n s t r u k t y, które powstały w określonym czasie i w określony sposób.

Postmodernizm i po postmodernizmie

P.B.: Niedawno ukazało się trzecie wydanie Twojej książki *Ironia i miłość. Neopragmatyzm Richarda Rorty'ego w kontekście sporu o postmodernizm*. Można powiedzieć, że to już dzisiaj klasyka. W 1996 roku, kiedy ukazało się pierwsze wydanie, byliśmy jednak w zupełnie innym miejscu. Z jakim przyjęciem spotykały się idee rortiańskie w tamtym czasie? Czy Rorty szokował? I jak w ogóle wprowadzało się postmodernizm do Polski (że tak niezbyt ładnie to ujmę)?

A.Sz.: Przede wszystkim byłbym przeciwny zbyt pochopnemu zrównywaniu poglądów Rorty'ego z tzw. postmodernizmem. Ten ostatni to twór nader niejednorodny i bardzo złożony, nie mówiąc już o tym, że jego istnienie wciąż nie jest udowodnione. Sam

Rorty raczej niechętnie odnosił się do tej kategorii i nie lubił, gdy się go wrzucało do jednego worka np. z Jean François Lyotardem, co wspomniana przez Ciebie książka próbowała pokazać. Pozostawmy zatem postmodernizm na boku, to bowiem osobna sprawa. Co do samego Rorty'ego i jego poglądów – z reguły budziły one w Polsce sprzeciw, co nie powinno dziwić, wzięwszy pod uwagę, że głosił on tezy nowe, idące pod prąd temu, co w filozofii uznawano za standardowe. Problem polegał jeszcze na tym, że spora część polskich filozofów nie zadała sobie nawet trudu, aby go porządnie przeczytać, wspierała się raczej na pogłoskach. Na szczęście byli i tacy, którzy uznali jego stanowisko za bardzo interesujące. Świadectwem tego był choćby skład owej konferencji toruńskiej, wzięli w niej udział wszak m.in. Jerzy Kmita, Stefan Morawski, Wojciech Burszta, Anna Pałubicka, Michał Buchowski, Paweł Zeidler, Barbara Tuchańska, Michał Sempoliński, Bohdan Dziemidok, Andrzej Zybortowicz, a są to ważne postacie polskiej humanistyki.

P.B.: Z okazji dwudziestolecia istnienia „Tekstów Drugich” dwa lata temu ukazał się jubileuszowy numer tego pisma instytucji, a w nim szereg głosów przyjaciół i współpracowników (w tym i Twój). Ewa Domańska zapytała: *Jakiej metodologii potrzebuje współczesna humanistyka?* Wskazała na to, że coraz wyraźniej zaznacza się dzisiaj tendencja do ponownego zbliżenia między humanistyką i przyrodoznawstwem. „Nie ma współczesnej awangardowej humanistyki bez nauk przyrodniczych. Nie ma współczesnych dyskusji humanistycznych bez zagadnień odwołujących się do teorii ewolucji, biologii, genetyki, biowładzy, biospołeczności”, powiada wręcz Domańska, zaraz jednak zaznacza, że w zbliżeniu tym nie chodzi o próbę ponownego unaukowania humanistyki na wzór przyrodoznawstwa. Mimo tego za-

strzeżenia trudno nie podejrzewać tu jakiejś tęsknoty humanisty za twardą rzeczywistością, która rozpościerałaby się poza światem tekstów, symboli, narracji itd., wszak to właśnie Domańska jest w Polsce propagatorką „zwrotu ku rzeczom”, w którym chodziłoby o oddanie głosu temu, co nie-ludzkie, nie-skonstruowane, nie-opowiadane.

Co sądzisz o tego rodzaju próbach zbliżeń? Czy rozumiesz i znajdujesz usprawiedliwienie dla tych tęsknot? Czy humanista może dać się zauroczyć przyrodoznawstwu, nie dając się jednocześnie zauroczyć przyrodoznawczej ontologii i metodologii?

A.Sz.: Nie podzielam tych fascynacji Ewy. Nie wydaje mi się, aby humanistyka powinna jakoś gwałtownie zacząć czerpać z nauk przyrodoznawczych czy to metodę, czy też temat swoich zainteresowań. Bliskie jest mi podejście neokantystów ze szkoły badeńskiej, którzy wskazywali na to, że humanistyka ma swój własny przedmiot badania, a mianowicie kulturę. Co więcej, skłaniałbym się do tezy, że bez uwzględnienia owej kultury także przyrodoznawstwa nie sposób zrozumieć (w moim przekonaniu, przyjąwszy pewną interpretację, także nauki przyrodoznawcze stają się naukami o kulturze). Bliższe byłoby mi zatem podejście dokładnie odwrotne od tego lansowanego przez Domańską, a mianowicie wskazanie na konieczność uwzględnienia w naukach przyrodoznawczych tych elementów, które nie są zwykle przez nie uwzględniane jak np. polityki czy etyki.

P.B.: Ciekawi mnie Twoje zdanie na temat Bruno Latoura? W artykule *Postmodernizm a scjentyzm* zaliczasz go do konstruktywizmu społecznego. Tymczasem wspólnie mamy do czynienia z próbami wypisywania go z kontekstu stanowionego opozycją konstruktywizm – realizm, czego najlepszym przykładem jest książka Krzysz-

tofa Abriszewskiego *Poznanie, zbiorowość, polityka. Analiza teorii aktora-sieci Bruno Latoura*. Czy zgadzasz się z tymi próbami, czy też podtrzymujesz swoje wcześniejsze stanowisko? I co, jako znany antyesencjalista, sądzisz o latourowskim zawołaniu „Podążaj za aktorem!” Czy jest to w ogóle według Ciebie możliwe, czy też jedyne, za czym możemy podążać, to my sami?

A.Sz.: Ładnie to ująłeś. Tak, jedyna rzecz, za którą powinniśmy podążać, to my sami, choćby dlatego, że owi aktorzy Latoura to zawsze owoc naszej konstrukcji kulturowej, nawet jeśli w grę wchodzi przedmioty. Nie o to oczywiście chodzi, że dosłownie je tworzymy (choć i to ma miejsce w praktyce laboratoryjnej), ale o to, że to my nadajemy im znaczenie. W tym sensie uważam, że konstruktywizm wciąż pozostaje w mocy, a podejście Latoura jedynie poszerza obszar jego zastosowania, trafnie pokazując, że świat społeczny, w którym żyjemy, jest światem złożonym nie tylko ze związków międzyludzkich, lecz także związków ludzi z przedmiotami. W tym sensie jego analizy są rzeczywiście rewelacyjne, otwierają bowiem oczy na złożoność naszego środowiska i wielość czynników, które je zmieniają.

P.B.: W ostatnich latach coraz popularniejsze stają się te nurty w socjologii i filozofii kultury współczesnej, w których odchodzi się od mówienia o ponowoczesności i postmodernizmie, zastępując je modernizmem, płynną, drugą czy krytyczną nowoczesnością. Co o tym sądzisz? Co zyskujemy, a co tracimy modelując kulturę współczesną poprzez podkreślanie ciągłości, a nie zerwania?

A.Sz.: Jestem przywiązany do dyskursu ponowoczesności i postmodernizmu. Wydaje mi się, że kategorie te pozwalają uchwycić coś bardzo ważnego we współczesnej praktyce społecznej i dobrze wyjaśniają jej



Andrzej Szahaj i Richard Rorty: po wykładzie
(Toruń, 2004; fotografia ze zbiorów Andrzeja Szahaja)

zmiany, jak i zmiany regulującej jej kultury. (Uważam, że sztuka i architektura, jako ważne elementy tej ostatniej szczególnie dobrze dają się opisać w kategoriach przejścia od modernizmu do postmodernizmu). Próbowałem to pokazać w kilku tekstach, idąc śladem takich teoretyków, jak David Harvey, Fredric Jameson oraz Charles Jencks.

P.B.: I pytanie na koniec. Jesteś członkiem Komitetu Nauk o Kulturze PAN oraz Komitetu Nauk Filozoficznych PAN. Od kilku lat jesteś także dziekanem Wydziału Humanistycznego UMK. Nie mogę oprzeć się pytaniu: jaka jest kondycja współczesnej polskiej humanistyki? Jak wpłynął na nią 1989 rok z jego ustrojową transformacją?

A.Sz.: Sytuacja polskiej humanistyki jest zróżnicowana w zależności od dyscypliny czy ośrodka akademickiego. Są miejsca, gdzie uprawia się ją w sposób twórczy, i takie, gdzie dominuje nudny konserwatyzm. Generalnie mam jednak wrażenie, że nie jest źle. Choć brak nam myślicieli rzędu Rorty'ego, Habermasa czy Derridy, to jednak na ogół nie mamy się czego wstydzić. Powstaje trochę książek i artykułów niezłych, pojawia się też sporo tłumaczeń, choć tutaj sytuacja

mogłaby być zdecydowanie lepsza (np. w literaturoznawstwie, gdzie tłumaczeń nowszych rzeczy prawie nie ma). Szkoda tylko, że duża część publikacji z zakresu humanistyki jest tak nieosobista, pozbawiona jakiegoś własnego stanowiska, zadowolająca się jedynie referowaniem. Brak nam wszystkim odwagi intelektualnej. Kiepsko też wygląda krytyka naukowa, prawie nie ma ważnych debat czy sporów.

Jednak to, co nam obecnie najbardziej zagraża, to niebywała wprost biurokratyzacja nauki polskiej połączona z próbą patrzenia na nią wyłącznie w kontekście użyteczności rynkowej. Próby skwantyfikowania wszystkiego, wymuszenia efektywności naukowej przede wszystkim poprzez system kontroli i nadzoru to w moim przekonaniu droga donikąd. Nauka potrzebuje wolności, spokoju i zaufania. Z wolnością nie jest u nas najgorzej, brak nam natomiast spokoju i zaufania. Szczególnie niedobre jest ciągle „gmeranie” w prawie związanym z nauką i szkolnictwem wyższym. Stan permanentnego reformowania wszystkiego nie służy spokojnej pracy. Mam zresztą wrażenie, że jest to działalność zastępcza. Oczekuje się chyba, że od ciągłego mieszania herbata bez cukru stanie się słodsza...